

ZAKRYTE LUSTRA  
PIĘŚĆ I PORCELANA



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA  
PIĘŚĆ I PORCELANA

TOM 4



AXIS MUNDI

Copyright © 2024 by Ewa Cieleśz  
Copyright for this edition © 2024 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska  
REDAKCJA: Agnieszka Sabak  
KOREKTA: Anna Piechota  
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski  
ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz  
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN: 978-83-8394-025-0  
EAN: 9788383940250  
ISBN E-BOOK: 978-83-8394-026-7

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.







Księżyc wynurzył się zza chmur, przecisnął przez firankę, kotarł o sprząty. Utraciwszy krwistą barwę, w którą ubrał się zaraz po wschodzie, srebrzył się teraz wyjątkowo jasno. To ostatnia wrześnieowa pełnia, która pozwalała gospodarzom na nocne prace wokół niedokończonych żniw. Właśnie dlatego nazywano go Księżycem Żniwiarzy.

Zosia wsłuchiwała się w płynące od lasu głosy wilków i jeleni. Były niespokojne tej nocy. A i ona nie potrafiła oderwać oczu od srebrzystego globu. Emanował magią, wciągał w swoje tajemnice, wzbudzał trwogę i odbierał sen.

Myślała o niepewnej przyszłości. Wokół robiło się coraz niespokojniej i słychać było pomruki nadchodzącej powstańczej burzy. Rosja poniosła klęskę w wojnie krymskiej, nastał nowy car, Aleksander II. Zabrawszy się za reformowanie swojego kraju, dał i Polakom nadzieję na poprawę sytuacji. Po roku panowania osobiście przyjechał do Warszawy, gdzie powitał go rozgorączkowany nadzieją tłum.

– Panowie, żadnych marzeń – ostudził gorączkę car. – Żadnych marzeń.

Nadzieje umarły.

Ostatnio z Bartkiem też ciężko jej było dojść do porozumienia. Choćby w sprawie synów. German tej jesieni miał skończyć

piętnaście lat, Florian sześć. Bartkowi nagle przyszło do głowy wysłać starszego do gimnazjum, a młodszego do szkoły powszechnej. Zosia obstawała przy pozostawieniu chłopców w domu, odesłaniu dotychczasowej nauczycielki i zatrudnieniu dobrze wykształconego guwernera. Nie dopuszczała nawet myśli, by jej synowie mieli uczęszczać do publicznych szkół. Jakże ich posłać na ten rygor, nie tylko co do zachowania, ale i wyglądu, ubioru... Przecież wiadomo, jaki jest German, zaraz by różgą brał po grzbiecie. A znów Florek za delikatny na wychowywanie chłostą i żelazną dyscypliną. Nie, Zosia na to się nie zgodzi. Stanowczo nie!

– Nie rozumiem, dlaczego muszę cię o tym przekonywać – persadowała. – Szkoła odstrasza, zamiast zachęcać do nauki. Sama w domu nauczę nasze dzieci patriotyzmu.

– Nie przesadzaj, kochanie – ripostował. – A co do dyscypliny, to chłopcy powinni uczyć się życia. Właśnie z takich uciskanych młodzieńców wyrastają niezadowoleni wyrotowcy, zdolni do walki. A takich nam trzeba. Wolności nam trzeba. W nich nadzieja.

– Ty chyba całkiem oszalałeś! – denerwowała się, widząc oczami wyobraźni swoich delikatnych, jasnowłosych chłopców z bronią w ręku. – Chcesz z nich uczynić mięso armatnie? Ja w każdym razie nie wierzę w żadną pobłażliwość powszechnej szkoły. I nie zamierzam rodzić synów na poniewierkę. Nie chcę wciąż się bać o dzieci! Nawet taki złośliwy i napastliwy Milejski jest innego zdania niż ty.

– Milejski należy do obozu białych, a ja do czerwonych.

– No właśnie. I on się temu dziwi.

– Dlaczego? Bo wszyscy ziemianie są z białymi?

– Tak. I nie chcą ginąć za sprawę, jak czerwoni, wolą drogą reform dochodzić do niepodległości.

Bartek zawiesił na Zosi pełne niedowierzania spojrzenie.



- I ty też jesteś tego zdania? Od kiedy?
- Odkąd mam synów – odparła z naciskiem. – Boję się o nich. Boję się też o ciebie i o Stacha.
- Och, kochanie... – Bartek otoczył ją ramionami i ucałował zmarszczone czoło. – Rozczulasz mnie tą swoją troską. Ale nawet jeśli cię rozumiem, nie zamierzam bratać się z władzami carskimi jak biali.
- Oni pamiętają, Bartłomieju.
- Co pamiętają?
- To, czego my nie możemy pamiętać, bo byliśmy wtedy małymi dziećmi. Nie chcą walczyć bronią, bo zanadto ich boli klęska zrywu listopadowego. Wy, czerwoni, to sami młodzi zapaleńcy z gorącymi głowami. Myślicie, że...
- Zaczekaj, Zosiu – uciszył ją Bartek. – Ja nie jestem taki znów młody, pochlebiasz mi. Miałem jedenaście lat, gdy tamto się działo, rok więcej niż twój brat. I widzisz, on dobrze wie, co się wtedy stało, a nie ustępuje w walkach, manifestuje, wierzy w wolność. Jemu nic nie powiesz?
- Nie...
- Dlaczego?
- Ja też wierzę...

Pod koniec września, gdy po kłosach zostały już tylko ścierniska, w sadach opadały jabłka, a wiatr przynosił same chłodne wieczory, do Szumiejek zawitał Julian, gubernator z ogłoszenia. Miał być doświadczonym nauczycielem, znać zasady wychowania, mieć w małym palcu metody nauczania, bieleć mówić po francusku i być nienaganny moralnie. Okazał się przymierającym głodem, początkującym malarzyna, ledwo po studiach i ledwo trzymającym się na nogach. Twarz miał bladą i wychudłą, co podkreślały jasne włosy do ramion. Podkrążone oczy ukryte za szklami okularów raziły błękitem, wyrażając jednocześnie błaganie o litość.

Zosia początkowo nie kryła oburzenia.

– Jak można tak kłamać? – Napadła na młodzieńca. – Pański wygląd zupełnie się nie zgadza z przechwałkami, które wyczytałam w ogłoszeniu. Francuskiego zapewne też pan nie zna?

– Akurat znam... Byłem w Paryżu.

– Był pan w Paryżu. Jak długo?

– Od roku.

– Rok to niedługo. Niewiele pan się zdążył nauczyć – zauważyła cierpko.

– Pomyłka, proszę pani – uśmiechnął się. Jego prawy policzek ozdobił figlarny dołeczek, a oczy rozjaśniła wesołość. – W Paryżu mieszkałem od pierwszego roku życia, tam się wychowałem i kształciłem. Mama była Francuzką.

– Ach... To zmienia postać rzeczy...

– Niestety, już nie żyje – dołeczek zniknął, a oczy pociemniały.

– Przyjechał pan do Polski, na niepewny los...

– Tak. Tam nie miałem już nikogo. Tutaj zresztą też... A z samych obrazów ciężko żyć.

– Cóż... Przykro mi. I tak nie mogę pana przyjąć – rozłożyła z rezygnacją ręce. – Zależy mi na dobrym wykształceniu synów. Wierzę, że ma pan wiedzę, ale nie ma pan doświadczenia.

– Jeśli każdy mnie wyrzuci, tak jak, pani, gdzie je zdobędę? – zapytał zrozpaczony.

Patrzył przy tym tak błagalnie, łzawo i niebiesko, że Zosia się ugięła. Julian został, German i Florek bardzo go polubili, a Bartek machnął ręką.

Była jeszcze Klara, pozostawiona u nich przez rodziców siostrzenica Bartka. Miała czternaście lat, a ponieważ po Dorocie i Macieju wszelki słuch zaginął, Zosia i Cecylia wzięły na siebie obowiązek jej wychowania. Pisania, czytania i rachunków uczyły ją na zmianę, poza tym kuratelą objęła ją Elżbietka. Ta przygotowywała panienkę do roli dobrej pani domu i oddanej żony. Dziewczyna często

przebywała w kuchni, gdzie pod okiem wuja Witolda, Boguni i Kasi zgłębiała kulinarne tajniki. Ku niezadowoleniu Elżbietki kręciły się tu również młodsze dzieci Witolda i Cecylii Udaszków: sześciolatka Anielka i czteroletnia Adusia. Najstarszy, dwunastoletni Michaś miał się uczyć razem z Germanem i Florkiem.

– Skaranie boskie z tymi dziećmi – burczała ochmistrzyni, która uważnie spoglądała pod nogi, by nie zdeptać tego drobiazgu.

Cecylia, która często pomagała w kuchni, znosiła to gderanie w milczeniu. Właśnie odkryła, że nosi pod sercem czwarte dziecko, i wcale nie spieszyła się z wyjawianiem swojego sekretu. Nowy kłopot, który będzie się plątał pod nogami rozdrażnionej Elżbietki.

Bartek wydzielił Cecylii w posagu trzy pokoje znajdujące się na pierwszym piętrze, w których za czasów bujnego życia towarzyskiego rodziców nocowali goście. Zosi to nie przeszkadzało, ale podczas świąt i rodzinnych uroczystości dochodziło do niezręcznych sytuacji. Cecylia zabiegała o miejsce dla siebie i Witolda przy rodzinnym stole, a ciotki Irena i Alina krzywiły się na takie towarzystwo.

– I co ja mam zrobić? Wołałabym, żeby Witold spełnił wreszcie obietnicę i wyprowadził się z Szumiejek do jakiejś baronowej – zwierzała się Elżbietce Zosia. – Bogunia dobrze radzi sobie w kuchni, mogłaby zostać główną kucharką. Podkuchenną znaleźć łatwo, zatrudniłabym nawet dwie do pomocy. Mam dość tych ciągłych awantur.

Elżbietka cmoknęła z zafasowaniem.

– No, nie wiem... Na dobrym kucharzu dwór stoi. A Witolda zazdrości nam cała okolica.

– Nic mnie to nie obchodzi – denerwowała się Zosia. – Wolę spokój.

– Ale pani Cecylia nie opuści Szumiejek i nie pójdzie na służbę do jakiejś hrabiny albo baronowej – stwierdziła Elżbietka. – Zresztą

Witold i tak podczas przyjęć musi zostać w kuchni, a jedynie jego żona z dziećmi zasiada do stołu. Niech więc pani Zosia tym się nie zajmuje, to sprawa między bratem a siostrą.

Elżbietka miała rację. Oliniukowie i Karewiałkowie po pewnym czasie znów przyjmowali zaproszenia na święta, mimo że obecność przy stole żony kucharza wywoływała ich zażenowanie i napięcie. Cecylia zaś zwężała oczy i zaciskała usta w cienką kreskę, gdy odzywała się do niej któraś z ciotek.

W ostatnim akordzie kalendarzowej zimy mróz zupełnie odpuścił, a słońce zaglądające do okien ogrzewało wnętrza na tyle, że Zosia kazała zdjąć grube aksamitne kotary z amfiladowych przejść i pozwolić powietrzu na swobodny przepływ.

Dni, owszem, stawały się coraz dłuższe i cieplejsze, ale wieczory zapadały chłodne, nocami nieraz chwytały przymrozki. Dlatego o zmierzchu wszyscy zbierali się w salonie, by zaoszczędzić na drewnie i nie ogrzewać innych pomieszczeń. Najbliżej kominka zasiadały Zosia i Cecylia z robótkami w rękach, tuż przy nich Klara z książką, bo do czytania nieustannie zachęcała ją Zosia. Bartek okupował sofę i obłożywszy się stosem zaległych gazet, oddawał się lekturze. Julian o tej porze dnia miał wprawdzie czas dla siebie, ale też lubił przebywać w towarzystwie rodziny swoich podopiecznych, więc przysiadł na zydlu pod ścianą ze szkicownikiem w ręku. A na środku, na wełnianym dywanie, dokazywali chłopcy.

– *Dziś o godzinie jedenastej – przeczytał głośno Bartek – na placu Muranowskim odbyła się egzekucja wystawienia pod pretekstem obwinionej o dzieciobójstwo...*

– Na miły Bóg, Bartłomieju! – oburzyła się Zosia. – Nie czytaj takich rzeczy przy dzieciach!

– A ja lubię, kiedy tatko czyta – odezwał się German i pociągnął nosem.

– Rozumiem, ale nie wszystko przeznaczone jest dla dzieci. Lepiej wytrzymaj w chusteczkę nos – upomniała go Zosia.

– Lubisz, mały nicponiu, kiedy czytam? – roześmiał się Bartek. – No, to proszę. Coś w sam raz dla ciebie: *Familia bezdzietna życzy sobie przyjąć na stół i mieszkanie ucznia za nader umiarkowane wynagrodzenie, przy zapewnieniu wszelkich wygod i prawdziwie rodzicielskiej troskliwości.*

– O, ja bym do obcych nie chcia! – zawołał z udanym przestachem Florek. Podbiegł do matki i przytulił się do jej ramienia, a ona uśmiechnęła się do swojego wrażliwego synka.

– A ja mógłbym – rzekł z butą German. – Chciałbym zobaczyć Warszawę.

– Żeby zobaczyć miasto, nie trzeba w nim koniecznie mieszkać – zauważył Julian. – Można tam po prostu pojechać na kilka dni.

– Na przykład w odwiedzinach do kuzynki Eulalii – dodała Zosia.

– Ach, ciociu! – zawołała nagle Klara i poderwała się na równe nogi. – Całkiem zapomniałam, a dzisiaj kurier przyniósł list z Warszawy! Ja odebrałam.

– I gdzież on jest? – zapytała Zosia tonem niby karcącym, ale tak naprawdę pobłażliwym. Dużo wyrozumiałości i ciepła miała dla tej opuszczonej przez rodziców sierotki.

– Położyłam... Zaraz... Chyba w kuchni. Tak, na pewno w kuchni.

– No, więc przynieś go czym prędzej.

Po chwili Klara zadyszana wróciła z listem.

– Ciociu, proszę – szepnęła.

– Dziękuję, kochanie – uśmiechnęła się do niej Zosia, otworzyła kopertę i przebiegała wzrokiem równiutko zapisane zdania, po czym przeczytała na głos:

*Najdroższa moja Zosiu.*

*Mam nadzieję, że zastałam Ciebie i Twoją rodzinę w dobrym zdrowiu. My z Dionizym jakoś się trzymamy, chociaż trudno ukryć,*

*że starość daje znać o sobie. Ostatnio sny miewam przykre, umarli przychodzą. Nie dalej jak wczoraj Rozalia mi się przyśniła, a w tym śnie wołała Ciebie, więc pomyślałam, czy nie powinnaś przyjechać do nas na jakiś czas, pobyc z nami. Wiem, że lubisz Warszawę, a przecież w Szumiejkach teraz niewiele jest roboty. I może wzięłabyś młodszego chłopca? Niechby zasmakował miejskiego życia.*

– Florek do Warszawy? A ja? – zaprotestował German.

– Florek jeszcze mały. A ty zostaniesz i będziesz się uczył – zdecydował Bartek.

Z dalszej części listu Zosia dowiedziała się, że Józia złapała gdzieś grypę i po zakupy musiała biegać osobiście kucharka. Dionizy zdeptał niechący swoje okulary i trzeba było sprawić mu nowe. Pod drzwiami kamienicy przyplątało się zabiedzone kocisko, które Eulalia przygarnęła i nazwała Ziółko. Przez tydzień sypiało na ozdobnej poduszce w salonie, a po tygodniu przeniosło się na łóżko Eulalii. Ot, kocia miłość. To tyle.

– No, jak? Pojedziesz? – zapytał Bartek już w sypialni, moszcząc się pod pierzyną.

– Chyba powinnam – odparła Zosia. – Nie chcę sobie wyrzucać, że nie spełniłam jej prośby. Zabiorę Florka, żeby za mną nie tęsknił.

– Ja będę tęsknił – powiedział Bartek i wyciągnął do niej ramiona.

Wtopiła się w nie i przez długą chwilę leżeli. Razem. Bardzo samotni.

Eulalia nie posiadała się ze szczęścia. I choć upięty kok był już zupełnie siwy, a lekko pochylone plecy wskazywały na przebytą długą, życiową drogę, oczy jaśniały szczęściem na widok ukochanej Zosi. Również Dionizy cieszył się z jej wizyty. Zyskał nową słuchaczkę swoich politycznych dywagacji, bo zdawało mu się, że Eulalii powiedział już wszystko.

Problem tkwił tylko z rozmieszczeniem gości. Hanka otrzymała miejsce przy Józi i Jadwini w przyległej do kuchni izdebce, Zosia, jak zawsze, w gościnnym pokoiku, gdzie stało jedno wąskie łóżko. Przydałby się jeszcze pokój dla Florka. I Eulalia miała taki pokój. Kłopot w tym, że należał on wcześniej do Witusia. Dzielił go najpierw z mamką, później z nianią, następnie z guwernerem, a kiedy został studentem, królował w nim sam. Po stracie syna zrozpaczona matka symulowała jego obecność nietkniętymi drobiazgami, które pozostawił na biurku, zapachem wiszących w szafie ubrań, pościelą, która spiętrzona na łóżku czekała na jego powrót. Stworzyła skansen wspomnień, do którego nie miała wstępu nawet Józia, bo święty kurz z relikwii Eulalia usuwała sama. I oto teraz, po latach wypełnionych wspomnieniami, miałaby zepchnąć sacrum z piedestału, a przestrzeń wypełnić innym chłopcem?

– Och... Nie wiem, doprawdy... – bąkała, spoglądając to na Florka, to znów na drzwi strzegące sanktuarium. – Może wygodniej byłoby... hm... w bibliotece?

– Pani Eulalia co i rusz wskrzesza ducha zamiast raz nareszcie pochować syna, jak się należy, i zostawić go wreszcie w spokoju – dobiegło z kuchni pomrukiwanie Jadwini.

Kucharka pracowała tu już tyle lat i tak dobrze знаła swoją panią, że nie bała się konsekwencji własnego gderania. A Eulalia, mimo że nie przyznawała się do tego, nie raz stosowała się do rzucanych mimochodem uwag Jadwini. Jeszcze tego samego dnia płynące po jej policzkach łzy przesłoniły widok zręcznych rąk Józki wkładających do kartonów przedmioty, których dotykał Wituś, a wyjęte z szafy białe koszule i jedwabne krawaty, które nosił, po raz ostatni przywoływały wspomnienia szczęśliwych chwil z synem. Teraz wszystkie te rzeczy zostaną odesłane do organizacji dobroczynnych i rozdane potrzebującym.

– Tak trzeba, tak trzeba – mamrotał drepzczący wokół żony Dionizy, czule głaszcząc ją po ramieniu.

Drewniana łyżka z długim trzonkiem leżała na czyściutko wyszorowanym stole. Obok stał kamienny garnuszek z resztką tłustej, kremowej śmietany. Spod ustawionego przy ścianie dębowego krzesła pręgowany kocur wodził szmaragdowym wzrokiem za palcem Hanki, który to zanurzał się w garnku, to wędrował do łakomie mlaskających ust. Obok niej zmęczona całodzienną krzątaniem siedziała Józka i trzonkiem swojej łyżki rysowała na stole bezmyślne esy-floresy.

– Chcesz jeszcze? – Hanka przesunęła garnuszek w stronę Józki.

– Nie – naczynie wróciło na dawne miejsce, a Józka końcem łyżki od niechcienia wskazała kota. – Ziółko by zjadł. Spójrz, jak porusza ogonem. Tylko czeka.

– O raju, na pewno śmietany nie dostanie! – Hanka zabrała garnek do siebie i wygarnęła wszystko do czysta.



– Mylisz się. Pani Eulalia go rozpieszcza. Ziółko codziennie pije porcję śmietanki. I co drugi dzień zajada cielęcinę. – Józia ziewnęła szeroko i przeciągnęła się. – Późno, chodźmy już spać.

– Jeszcze chwilę – powstrzymała ją Hanka. – Zaczekajmy, aż Jadwinia zaśnie, bo znowu będzie utyskiwać, że wiercimy się na łózkach i materace chrząszczą.

– Co robią? – zachichotała Józia i szturchnęła w bok Hankę.

– Chrząszczą – parsknęła śmiechem Hanka.

– Chrzą...szczą! – krztusiła się Józia. – Tak się nie mówi! Chrzę...szczą!

– Przestań – wyjąkała Hanka i przygryzła własną pięść, żeby nie hałasować. – O raju, a jak się mówi?

– O, Jezusku, nie mogę! – zaśmiewała się Józia, aż łzy ciekły jej po policzkach. – Chrząszczą!

Nagle obie zamilkły jak na zamówienie, bo w progu z groźną miną stanęła Jadwinia.

– Do spania! Ale już! – rozkazała. – Siedzicie po nocach, a potem spać nie można, bo się wierzicie i materace...

– Chrząszczą – pisnęła Hanka i spojrzała na Józję, która ukryła czerwoną od tłumionego śmiechu twarz w fartuszk i tylko drżące ramiona wskazywały, że nie może się opanować.

– Ot, głupie – mruknęła Jadwinia. – Śmieją się z byle czego.

Sięgnęła do szafki, z której wydobyła fajansową miseczkę, wypełniła ją drobnymi, cynamonowymi ciasteczkami i podsunęła Józii i Hance.

– Lepiej gęby zapchajcie, zanim wszystkich pobudzicie – mruknęła.

– A Jadwinia czemu nie śpi? – zapytała Józia, ocierając wierzchem dłoni wilgotne od łez policzki.

– Pełnia dzisiaj, kto by tam spał, kiedy ta pyzata gęba prosto w okno zagląda? Spójrzcie choćby na tego kota. Też oczy wytrzeszcza.

– Wytrzeszcza, ale nie do księżycy, tylko do śmietany – sprostowała Hanka.

– Nieprawda – Jadwinia wsunęła do ust ciasteczko i żuła je z rozmysłem. – Nie na darmo koty palono kiedyś razem z czarownicami na stosie. One widzą więcej niż ty czy ja. I czują więcej.

– Co czują? – Hanka wbiła wzrok w Ziółko.

– Duchy, demony. Koty zawsze wiedzą, kiedy te kręcą się w pobliżu. Wtedy jeżą sierść albo patrzą tak jak teraz.

– Tak jak teraz? – wzdrygnęła się Hanka.

– A co myślisz? – wtrąciła się Józia. – Tutaj zawsze się kręci świętej pamięci pan Wojarski.

– Albo Wituś – dorzuciła Jadwinia i sięgnęła po kolejne ciasteczko.

– Tak – potwierdziła Józia. – Albo Wituś.

– A powiedz, Hanka, pani Zosia długo u nas zabawi? – zapytała Jadwinia.

– Tak dokładnie to nie wiem, ale może być, że do wiosny zostaniemy. Teraz roboty za bardzo nie ma, to pan Bartek pozwolił.

– Do wiosny! – rozpromieniła się Jadwinia. – Dobrze, dobrze – cieszyła się. – Na panią Eulalię zawsze dobrze robi, jak ona tu jest. Bo ta nasza Zosia taka rozświergotana jak ptaszek! Powiem ci, że i ja się cieszę!

– Józiu, Józiu! – wołała Eulalia, otulając się szczerzej szlafrokiem. – Gdzież się podziała ta dziewczyna, skaranie boskie! Józiu!

– Po bułki i gazetę przecież poleciała z samego rana – wychyliła się z kuchni Jadwinia. – Co potrzeba?

– Ach! – machnęła ręką Eulalia. – Co potrzeba – powtórzyła z irytacją. – Przecież ty, Jadwiniu, nie zaradzisz wszystkiemu. Zajmij się lepiej śniadaniem i przygotuj gorące mleko dla Floriana i kakao dla pani Zosi.

Ostatnie słowo wypowiedziała tak słodko, jakby ktoś podlał je beczką miodu.

– Toż wiem – burczała Jadwinia. – Dla Florka mleko, a dla pani Zosi kakao...

Po zarwanej nocy czuła się niedospana i najchętniej przyłożyłaby jeszcze głowę do poduszki.

– Dzień dobry, ciociu – zaszcebiotała Zosia, która wystrojona w poranną suknię i starannie uczesana przez Hankę wynurzyła się ze swojego pokoju.

– Ach, moja kochana! – zawołała Eulalia. – Chodźże tu, niech cię uściskam! Wciąż nie mogę nacieszyć się tobą! Jak dobrze, że zostaniesz na dłużej. Pokaż no się!

Chwyliła Zosię za obie dłonie i odsunęła na odległość ramion.

– Piękniejesz, Zosiu – szepnęła z namaszczeniem. – Małżeństwo, macierzyństwo, wieś, wszystko ci służy!

– Dziękuję, ciociu – dygnęła po dziewczęcemu Zosia. – To zasługa Bartka. On o mnie tak dba.

– Och, wiem, wiem – pokiwała głową Eulalia. – Miło na was popatrzeć, tyle macie dla siebie szacunku. I pomyśleć, że to małżeństwo zawdzięczasz Stasiowi, który sam chyba nigdy się nie ożeni.

– Staś to oddany żołnierz, ciociu – oświadczyła z powagą Zosia. – Nie w głowie mu kobiety.

– Ech... I kiedyś zostanie sam, zobaczysz... – westchnęła Eulalia.

– Ma przecież nas, ciociu! Mnie, Bartka i naszych chłopców.

– No, a jakże German? – ożywiła się Eulalia. – Wyrósł już pewnie, co?

– Niedługo skończy piętnaście lat.

– Mój Boże, kiedy to zleciało, powiedz...

– Sama nie wiem – uśmiechnęła się nostalgicznie Zosia.

Z jednej strony czas odkrywał przed nią wciąż coś nowego, z drugiej każdy kolejny dzień przykrywał wspomnienia o Przylipiu coraz grubszą warstwą ukojenia.

Drzwi w przedpokoju stuknęły i do środka wsunęła się objuczona zakupami, zaróżowiona od mrozu Józia.

– Jesteś nareszcie – odezwała się z niezadowolaniem Eulalia. – Coraz więcej czasu schodzi ci na tych zakupach.

– No bo proszę pani, co to się dzieje teraz w sklepach! Coraz większe tłumy tu do nas, do Śródmieścia ściągają!

– Tak? A dlaczego? – zdziwiła się Eulalia.

– Chyba ludzie zwąchali, że tu najlepszy piekarz.

– E, tam. Gadanie! Gdybyś nie plotkowała z każdą napotkaną służącą, załatwiłabyś sprawunki raz-dwa!

– Ale nie przynosiłaby tyle wiadomości, co przynosi! – wychyliła się z kuchni Jadwinia.

– Właśnie, proszę pani – podchwyciła Józia. – Dzisiaj...

– Dobrze, dobrze – przerwała jej Eulalia. – Powiesz później. Tymczasem, spójrz, w piecu całkiem wygasło. Trzeba na nowo rozpalić.

– Lepsze kaloryfery niż ten piec – odezwał się zniecierpliwiony Dionizy. – Witaj, moja droga – ucałował Eulalię w czoło. – Uszanowanie pięknej pani Szaratowej – z gracją pochylił się nad dłonią kuzynki. – Kawa, kawusia... – zatarł dłonie i zerknął tęsknie w stronę przymkniętych kuchennych drzwi. – Jest nadzieja na kawę? – zapytał głośniejszym głosem i mrugnął do Zosi. – Słuchaj tylko teraz – szepnął.

– Nie rozedrę się! – dobiegł zrzędlawy głos Jadwini, a Dionizy zachichotał. – Zaraz po śniadaniu pan Dionizy swoją kawusię dostanie.

– Zawsze ta sama śpiewka – zwrócił się poufale do Zosi.

– Bo też drażnisz kucharkę – ofuknęła go Eulalia, również spojrziała na Zosię i pokręciła głową. – Jak dziecko – mruknęła. – Jak dziecko...

– Dobrze, dobrze! – zawołał w kierunku kuchni Dionizy. – Niech się Jadwinia nie spieszy... Co to ja mówiłem? Aha, te kaloryfery. Przedstaw sobie Zosiu, że... Może nie na wsi, gdzie drewno dostępne, ale dajmy na to tu, w Warszawie, czy w Krakowie, można

zamontować jedno tylko podziemne ognisko i rurami po całym domu ciepło rozprowadzić. To się nazywa centralne ogrzewanie, do czego gorąco twoją ciotkę namawiam. Wygodne to, nie trzeba się tak narobić i kurzu z tego nie ma.

Józia aż przerwała swoją robotę i patrzyła na pana Dionizego z zachwytem.

– Przyjdzie czas, zrobimy – stwierdziła Eulalia, która nienawidziła zmian i była na bakier z cywilizacją. – A teraz rozpalże wreszcie w tym piecu, Józiu. Aha, gdzie położyłaś dzisiejszą gazetę?

– Jak zwykle, na stoliku pani Eulalii.

– Na moim stoliku? Nie ma... A, czekaj, jest... Nie zauważyłam... Nie, ta jest z dwudziestego czwartego lutego, a dziś jest dwudziestego... zaraz... którego to dzisiaj?

– Dziś jest właśnie dwudziesty czwarty, ciociu – odpowiedziała Zosia. – Ciocia chce czas przyspieszyć.

– Co to, to nie! – zaprotestowała gwałtownie Eulalia. – Wcale nie chcę niczego przyspieszać, tym bardziej że ja już tego czasu wcale nie mam... Popatrz, Dionizy, człowiek nie ma nic, gdy się rodzi, odchodzi z niczym, a żal mu, że tyle traci – zakończyła zrezygnowanym tonem.

– Nie opowiadaj, nie opowiadaj – zaprotestował z uśmiechem Dionizy i poklepał żonę po splecionych, spoczywających na stoliku dłoniach. – Nigdzie się jeszcze nie wybierasz. Trzymasz się dziarsko i na pewno na tamtym świecie nikt jeszcze ciebie nie wygląda.

Zarówno ten uśmiech, jak i ton głosu były pełne źle ukrywanych obaw. Dionizy martwił się o słabowite serce żony.

– A pamiętasz? – Zmienił nagle temat. – Jutro rocznica bitwy pod Olszynką Grochowską! Za trzy dni na Lesznie u Karmelitów będzie bardzo ważna msza...

– Jaka msza, mój drogi? – Eulalia zawiesiła na jego twarzy wyczekujące spojrzenie i zmarszczyła brwi. Jej pamięć nie była już tak dobra jak kiedyś.

– Nie pamiętasz, jak w naszym kościele ksiądz zapowiadał świętowanie tej rocznicy? A jutro nabożeństwo będzie u nas, w Śródmieściu, przy Freta.

– A, tak, tak! – klasnęła w ręce Eulalia. – Dobrze, że przypomniałeś. Pójdziemy.

– Pójdziemy? – zapytał z niedowierzaniem Dionizy. – Mówiłaś przecież, że nie pójdziemy, bo takie zbiegowiska to już nie na twoje siły.

– Żartowałam – ucięła krótko Eulalia.

– Żartowałaś? – zgorszył się Dionizy. – To nie temat do żartów, Eulalio. Pamiętasz, co było w tamtym roku na pogrzebie generałowej Sowińskiej?

– Podano do stołu – dygnęła od progu Józia i uśmiechnęła się do Zosi, która odwzajemniła uśmiech.

– Nie spoufalaj się ze służbą, kochanie – szepnęła Eulalia, a głośno dodała: – Chodźmy do jadalni i tam porozmawiamy... A gdzie Florek?

– Jest tutaj, koło mnie – zaśmiała się Zosia. – Bawi się z kotem.

– Boże, to dziecko... Jakby go w ogóle nie było – rzekła z podziwem Eulalia.

Dionizy usiadł na swoim stałym miejscu, wsunął serwetę za kołnierzyk koszuli, odchrząknął i zwracając się do Zosi, objaśnił:

– W tamtym roku, w czerwcu pogrzeb wdowy po generale Sowińskim zamienił się w wielką manifestację.

– Tak, przyszły tysiące ludzi – potwierdziła Eulalia.

– Było ich z kilkanaście tysięcy – pokiwał głową Dionizy. – Przyjechali też ziemianie i przyszli studenci.

– Studenci. Mój Boże, takiego pamiętam Witusia... – westchnęła Eulalia. – Ci chłopcy trumnę na własnych barkach nieśli na same Powązki. To było takie wzruszające... I Wituś niósłby, gdyby żył, jestem tego pewna.

– A po drodze śpiewali patriotyczne pieśni – dorzucił Dionizy. – Nie jakieś pogrzebowe, tylko takie na przykład: *Jeszcze Polska nie umarła* – zanucił i zaraz dodał: – Cóż, generał Sowiński bardzo się zasłużył w powstaniu listopadowym. A jego żona to znów była wielka społecznica.

– Ludzie na cmentarzu oberwali wszystkie listki z okolicznych krzaków. Pewnie teraz w niejednej szufladzie znajdzie się taki, zasuszony na pamiątkę – uśmiechnęła się z nostalgią Eulalia. – A znów ci chłopcy, co trumnę nieśli, obcięli kawał trenu sukni Sowińskiej i rozdawali po strzępku.

– A wiesz, moja kochana, aż się dziwię... – zauważył, marszcząc brwi, Dionizy. – Pamiętasz, co się działo, kiedy syn przywódcy tych ugodowców, Aleksandra Wielopolskiego, Zygmunt...

– Zygmunt, nie Zygmunt – zniecierpliwiła się Eulalia. – Mówże, Dionizy, co on takiego zrobił.

– No, co zrobił – naburmuszył się Dionizy. – Nazwał kondukt małą komedią. Nie pamiętasz, jak go tłum zelżył?

– I miał rację. Dlaczego to cię dziwi?

– Nie to mnie dziwi, że zelżył. Sam uważam, że zasłużył na ostrzejszą karę. Dziwi mnie, bo ten pogrzeb przerodził się w zryw patriotyczny, od tamtej pory nie ustają demonstracje. Ulotki fruwają po całej Warszawie, studenci przylepiają do słupów i murów odezwy do narodu, po kawiarniach, domach i uczelniach zbierają się rozmaite kółka opozycyjne, a wojska i żandarmerii to wcale nie interesuje.

– A chciałbyś, żeby zaczęło? – uśmiechnęła się kwaśno Eulalia.

– Oczywiście, że nie, ale to, co się teraz dzieje, jest dziwne. Ja czuję tu, w sercu taką... taką niepewność, lęk, że coś jeszcze z tego będzie, że oni na razie się przyczaili, ale coś szykują.

– Nie wydaje mi się. – Eulalia sięgnęła po połówkę gotowanego jajka i przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Józiu! Józiu! – zawołała.

– Słucham, proszę pani – służąca stanęła w progu, wymachując miotełką do kurzu.

– Gdzie kupowałaś jajka?

– Na targu u handlarki.

– Ale tej co zawsze?

– Nie, Kaufmannowej nie było. Może chora? Ostatnio coś źle wyglądała, miała takie sińce pod oczami...

– Nie obchodzi mnie zdrowie Kaufmannowej – przerwała jej sucho Eulalia. – Tylko czy te jajka świeże.

– Świeże, proszę pani. Na pewno świeże – gwarantowała Józia.

– Sprawdzałaś? – Eulalia przyglądała się jej badawczo.

– Tttaaak... – bąknęła służąca i spiekła raka.

– Skoro tak, to dobrze. Wracaj do sprzątanania – rzuciła lekkim tonem Eulalia, odkroiła kawałek jajka i wsunęła kęs do ust.

– Nie sprawdzała – oznajmił szeptem Dionizy, odprowadzwszy wzrokiem Józję. – Na pewno nie... A wiesz, moja droga – zwrócił się po chwili do Zosi. – W ubiegłym roku, na rocznicę wybuchu listopadowego powstania, pod tym samym kościołem karmelickim, gdzie teraz msza będzie...

– Tam mieściło się carskie więzienie – wtrąciła Eulalia między jednym a drugim kawałkiem posmarowanej masłem bułeczki.

– Właśnie, właśnie... – przytaknął Dionizy. – Wtedy też przyszedł wielki tłum ludzi. Przynieśli z sobą portrety Kościuszki i świeczki, które ustawiali pod figurą Matki Boskiej. Studenci, chyba z jakiejś zorganizowanej grupy, rozdali ludziom kartki z pieśnią *Boże, coś Polskę*, ale ze zmienionym tekstem. Ach, żebyś to mogła słyszeć... Jak ten tłum ryknął: *Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie. Aż ciarki przeszły!* A potem inne jeszcze pieśni. I tak, śpiewając, szli ludzie w stronę Starego Miasta. A tamci... O Rosjanach mówię, tylko patrzyli. I nic. Stali i patrzyli.



– Może nie wiedzieli, co zrobić – zauważyła Zosia. – Manifestacja była spokojna, w dodatku religijna, a modlitwa i śpiew nie są przecież zakazane...

– Nie są – przyznał w zamyśleniu Dionizy. – Jeszcze nie są...

Józia, która zmiotła już kurze i teraz zajrzała do jadalni, czy niczego państwu nie brakuje, zatrzymała się w progu, jakby chciała coś powiedzieć.

– No? – zachęciła ją Eulalia. – Co tam, moja Józio?

– Bo ten most tymczasowy, proszę pani, rozebrali...

– Jaki most? Ten, co budują, niedaleko Zamku Królewskiego? – zdziwił się Dionizy.

– Nie, proszę pana. Ten tymczasowy, łyżwowy, co wychodzi w Bednarską...

– Rozebrali? A to chyba zawsze na zimę rozbierają – zawahała się Eulalia.

– A, ja tam nie wiem, proszę pani – odparła Józia. – Słyszałam tylko u rzeźnika, że rozebrali... Coś potrzeba? – obrzuciła szybkim spojrzeniem stół.

– Dziękuję, Józio, możesz odejść – machnęła ręką Eulalia.

– Rozebrali, żeby demonstracji nie było – domyślił się Dionizy. – Żeby ludzie nie szli na pola grochowskie...

Zosia wstała od stołu i podeszła do okna.

– Rozebranie mostu nie powstrzyma ludzi – powiedziała, spoglądając na ulicę przez koronkę firanki. – Wszędzie pełno ulotek...

Tłum napływał powolnym strumieniem i znikał we wnętrzu kościoła. A kiedy przestał się tam mieścić, zalewał plac przy kościele i z tego miejsca ludzie brali udział w wielkopostnym nabożeństwie. Zosia z niepokojem zerkała na poblądlą twarz cici. Przed wyjściem nie najlepiej się czuła, a serce trzepotało w jej piersi, jak u przerażonego ptaka. Eulalia jednak nie zwracała

na nic uwagi. Uczepiona ramienia męża, z rozszerzonymi oczami, przejęta, niemal w ekstazie modliła się wraz z tłumem. Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa, pod kościół nieoczekiwanie zajechał wóz karowy, jeden z tych, na których co dzień wywożono z miasta śmieci. Studenci ukryli w nim chorągwie z Orłem i litewską Pogonią.

Tłum zafalował, gdy kilkudziesięciu młodzieńców z pochodniami ruszyło w stronę Rynku.

– Kochanie, uważaj, nie oddalaj się! – zawołała Eulalia i złapała Zosię za przegub ręki. – Trzymajmy się razem, ta ludzka ciżba może nas rozdzielić, a wtedy się nie znajdziemy – zawołała i jeszcze mocniej ścisnęła rękę Zosi. Drugą ręką chwyciła łokieć Dionizego.

– *Święty Boże, święty, mocny...* – śpiewał tłum, przesuając się do przodu zwartą kolumną, krok po kroku.

Warszawiacy, którzy pozostali w domach, otwierali na oścież okna, podawali przechodzącym święte obrazy. Damy ze łaźni w oczach rzuciły na ten rozgorączkowany pochód wieńce i kwiaty.

– Garibaldi!

– Trzeci Maj!

– Precz z Moskalami! – wykrzykiwała stojąca przy winiarni Fukiera grupa młodzieży.

Tłum dotarł do Rynku, gdzie już wcześniej przekupki zrobiły dla manifestantów miejsce i przesunęły swoje stragany pod mury kamienic.

– Uważaj! – Dionizy przyciągnął do siebie Eulalię. – Konni jadą!

Na widok żandarmerii rozległy się gwizdy i obraźliwe wyzwiska, ale tamci mieli rozkaz rozgonić demonstrantów i zabrali się za to, używając siły. Przykład dawał oberpolicmajster Trepow, który szczególnie brutalnie szarpał studentów.

– Chodźmy stąd, robi się niebezpiecznie – ostrzegł Dionizy i zaczął się wycofywać, popychając przed sobą Eulalię.

– Zosiu, chodź, nie zatrzymuj się, Zosiu! – wołała Eulalia, co chwilę oglądając się na nią.

Pani Szaratowa z kolei oglądała się na tę szarpaninę i aż wstrzymała oddech, gdy szef policji zaczął wyrwać z rąk jednego ze studentów sztandar, a ten, w odwecie uderzył go w twarz.

– Zosiu! Zosiu! – krzyczała histerycznie Eulalia, ponieważ żandarmi zaczęli szarżować konno i śmigać szablami nad głowami ludzi, którzy uciekali w panice. – Zosiu, na miłość Boską, chodź!

Dawno zapadł zmierzch, gdy cała trójka zmęczona i do głębi poruszona, wróciła do domu.

– Hanka, odśwież nasze buty i płaszcze – poleciała Eulalia. – Boże, całkiem zszargały się w tym tłumie – mamrotała, oglądając swoje wyjściowe buciki. – A ty, Józiu, podaj gorącą herbatę, zanim Jadwinia przygotowuje kolację. – Boże, jaka jestem skonana! – westchnęła i z ulgą zapadła w fotel.

– Proszę pani, w kolejce u piekarza mówili, że wczoraj żandarmi aresztowali trzydzieści osób – relacjonowała nazajutrz Józia, zaledwie przestąpiła próg mieszkania. – Podobno zamknęli ich w Cytadeli...

– Ja się tego spodziewałam – odparła znużonym głosem Eulalia, zwracając się do Dionizego. – Nie dalej jak kilka dni temu mówiłam, że carskie władze się przyczyaiły, prawda?

– Nie, to ja mówiłem – zaprotestował Dionizy. – A ty powiedziałaś, że nie wydaje ci się.

– Co mi się nie wydaje? – uniosła się Eulalia. – Ja nic takiego nie mówiłam...

– Dobrze, dobrze – łagodził mąż. – Może i nie mówiłaś, nie denerwuj się, bo ciśnienie ci się podniesie...

– Ludzie guza szukają – burczała w kuchni Jadwinia, wałąc tłuczkiem w plastry wołowego mięsa. – Po co było iść w tym pochodzie?

Ludzie idą do kościoła niby się modlić, a potem z tego robią demonstracje.

– Jakby Jadwinia nie wiedziała... Trzeba walczyć o wolność, o niepodległość! – zawołał z pokoju Dionizy.

– Na targu słyszałam, jak chłopcy, tacy tam oberwańcy, śpiewali piosenkę:

*Na Starym Mieście, przy wodotrysku,  
Teodor Trepow dostał po pysku.*

– opowiadała w kuchni rozbawiona Józia.

– No i dobrze. A ty żebyś tego czasem nie śpiewała. Jeszcze tego brakowało, żeby i ciebie do Cytadeli wsadzili – skwitowała Jadwinia.

Migrena Eulalii sprawiła, że wszyscy chodzili tego popołudnia na palcach. No, może poza Jadwinią, która szykując kolejny imbryczek naparu z szaławii i mięty, utyskiwała:

– I po co było iść na to manifestowanie? Teraz głowa boli... Jakby pani Eulalia nie wiedziała, że będzie z tego migrena.

– Jadwiniu, przestań już zrzędzić, dobrze? – jęczała Eulalia spod zimnego kompresu, który Zosia przykładła jej do czoła.

– Ja nie zrzędzę, tylko mówię, że pani Eulalia za no... za stara na takie...

– Jadwiniu – przerwała jej kategorycznie Zosia. – Tego już za wiele.

– Ale ja nic złego – przestraszyła się kucharka. – Ja z troskliwości o panią...

– Wiem, wiem – ucięła krótko Zosia. – Ale niech Jadwinia nie męczy już pani Eulalii.

– Dobrze... Ja nic złego... – tłumaczyła się płacząco, umykając do kuchni. Ale zamknąwszy za sobą szczelnie drzwi, nadal gderła.

Józia krzątała się po pokojach. To dołożyła drewna do pieca, to zmiotła podłogę, to zajęła się ścieraniem z kurzu i porządkowaniem

rozlicznych bibelotów ustawionych na etażerce. Hanka odświeżała i naprawiała garderobę pani Zosi, bo zawsze coś do zaszcucia przy którejś sukni się znalazło. Dionizy rozsiadł się z gazetą w salonie. Zaraz jednak zmorzył go sen i teraz pochrapywał, półleżąc na kanapie. Zasnęła również Eulalia, jedynie Zosia, usadowiwszy się przy niewielkim biurczku kuzynki, zabrała się za pisanie listu do Bartka.

*Drogi mój Mężu.*

*Mam nadzieję, że zastałam Ciebie i naszego syna w dobrym zdrowiu, a i w domu wszystko w porządku. My czujemy się dobrze, czasem tylko ciocia Eulalia narzeka na serce i zdarza się jej zapominać. Tak, mój Drogi. Ciocia Eulalia skończyła siedemdziesiąt lat, ale nie przyjmuje tego do wiadomości i bardzo się denerwuje, gdy nazbyt szczerza kucharka wytyka jej wiek przy różnych okazjach. Ciocia bowiem nie przestrzega diety, ani nie oszczędza się w żaden inny sposób. Ostatnio, gdy w Warszawie nasiliły się...*

Zosia zawahała się. Jest cenzura, nie o wszystkim można pisać. A tak chciałaby podzielić się z Bartkiem wydarzeniami ostatnich dni. Na samo ich wspomnienie jej serce zaczęło bić mocniej.

Wszystko stało się dwa dni po aresztowaniach demonstrantów. Zosia wraz z kuzynką Eulalią i Dionizym wybrali się na plac Zamkowy, gdzie zbierali się warszawianie, żądając uwolnienia więźniów. Eulalia w sukni z szeroką krynoliną, wyglądała jak kwoka rozkładająca skrzydła nad gniazdem. Parła do przodu, śpiewając żarliwie: *...co nam obca moc wydarła, szablą odbierzemy...*

Nagle w tłum wpadli konni Kozacy i zaczęli okładać ludzi nahajkami.

– Jezus Maria! – krzyknęła Eulalia, cofnęła się i ukryła się za plecami Dionizego. – Uciekajmy stąd! Chodź, Zosiu!

– A mówiłem! Mówiłem, żeby zostać w domu! – zrywał się Dionizy, przeciskając się przez rozjuszony tłum, który chwycił za kamienie i obrzucał nimi żołnierzy. Wtedy padły strzały.

– Chryste! Strzelają! – zawołała w panice Eulalia. – Zosiu, na miłość Boską, gdzie jesteś?

Do domu wrócili cali, ale roztrzęsieni. Dionizy zapowiedział, że więcej na żadne manifestacje nie da się namówić. A i Eulalia straciła cały rezon, gdy nazajutrz przeczytała w gazecie, że zginęło pięciu demonstrantów.

– Co za straszne rzeczy opowiadają w mieście! – referowała podekscytowana Józia. – Tego chłopaka, co zginął, to przetaszczyli nad tłumem i zanieśli do jego rodziców. Boże, co oni musieli przeżywać, proszę pani... A czterech pozostałych zanieśli podobno do Hotelu Europejskiego i położyli na stołach bilardowych.

– To okrucieństwo! – oburzała się Eulalia. – Jak wojsko mogło strzelać do bezbronnych ludzi? To złamanie wszelkich obyczajowych prawideł! Tak nie można!

– Nie można Eulalio, ale nie unos się, bo sobie zaszkodziś – studził jej emocje Dionizy.

– Pogrzeb tych nieszczęśników niewątpliwie znów zamieni się w wielką manifestację – powiedziała spokojniej, przy czym prosząco spojrzała na męża. – Z pewnością przyjdzie z pół Warszawy...

– Nie patrz tak na mnie – najeżył się Dionizy. – Niech będzie i cała Warszawa, ale ja odmawiam udziału tym razem. Pewnie znów będzie strzelanina, a ty ledwie żyjesz po ostatniej. Patriotyczne zrywy nie są już dla ciebie, moja droga. Ani dla mnie – dodał szybko, gdyż Eulalia już złożyła usta w nadąsany dzióbek.

– Dla Witusia to robię, nie dla siebie – zaperzyła się. – Nie po to on umarł, żeby pozostali gapili się beczynn timer, jak nam ojczyznę rozdrapują!

– Przecież się nie gapią. Demonstrują. A ty nie pójdziesz i kwita – uparł się Dionizy. – Co komu przyjdzie z tego, że twoje serce pęknie?

Cóż, ciocia nie obejrzy scen żalu i buntu – myślała Zosia. – Pozostanie jej błąkać się po cichych pokojach z zamarłym na twarzy uśmiechem i pytać poległych, jak tam jest i czy spotkali Witusia...

Zosia umoczyła pióro w atramencie, a potem długo przyglądała się, jak czarny płyn kropla po kropli spada na beznamiętne, nic niemówiące słowa. Zgniotła papier i rzuciła go do stojącego pod piecem wiklinowego kosza. Nie napisze dziś listu, ale niedługo wróci do Szumiejek. Opowie o bitej batem, więzionej Warszawie i o krwi bezbronnych zmywanej pospiesznie z ulicznego bruku.